

Rok 1968 jest martwy. Można już chyba wypowiedzieć te słowa, których cień od pewnego czasu prze-mykał nad naszymi myślami niczym nocny ptak, zataczając ostrożne kręgi, to ukazując nam swą część, to znów wzbijając się w górę, aby skryć się w zasłonie ciemności, aż w końcu odsłonił nam całą swą po-tężną sylwetkę, szybując w bladym blasku księżyca. Tak. Czas już chyba najwyższy powtórzyć głośno owo zdanie, wyszeptywane przez tak wielu, z wielką trudnością jedynie przechodzące przez usta, zarówno przez te pełne nadziei, jak i przez te napełnione lękiem, a w końcu nawet i przez te zubożone, zastygłe w kamiennej formie niezmałconej niczym rezygnacji.

Rok 1968 jest martwy. Jego widmo tuła się wprawdzie jeszcze po świecie niczym zimne zwłoki napędzanego siłą rozpędu i resztkami dawnej witalności żywego trupa, jednakże siły, które wbijają weń osi-nowy kolek ostatecznej zagłady nie rodzą się – one już się narodziły. Błądzą na razie we mgle, oczadzone i otępione bladą zawiesziną na wpół zanikającego w otchłani dziejów ducha, podobne do zagubionych dzieci, nie wiedzących w którą stronę podążyć, niedoświadczonych jeszcze w trudach wędrówki. Już jednak obrzucają ojca swego spojrzeniami politowania, ciskają weń celnie delikatnymi uśmieszkami wzgar-dy, zasypują go słowami lekceważenia, oblepiają zewsząd gestami dobrotliwej tolerancji. Narasta w nich jednak i wzbiera siła Wielkiego Buntu, szykują się już, by wybuchnąć Niepowstrzymanym Śmiechem, druzgoczącym i obracającym w proch największe nawet potęgi w dziejach świata.

Rok 1968 jest martwy. Przyjrzyjmy się bowiem jego przedstawicielom! Nazywają się postmodernistami, twierdzą, że wszystko jest jedynie formą i konstruktem społecznym, szczycą się swoim „luzem” i dystansem do rzeczywistości, wydaje im się, że obalili wszystkie wartości i normy społeczne, że oto zostali *homines ludentes* bez żadnych zakazów i ograniczeń. Cóż jednak zobaczymy, gdy przyjrzymy się im bliżej? Cóż usłyszymy, gdy wsłuchamy się w ich słowa? Czyż nie wyłoni się nam nagle zza mgły udawanej wesołości i wyświechtanych, żalonych już żartów i trików człowiek modnie ubrany, zadbany i śmiertelnie poważny, prawiący bez cienia uśmiechu na ustach nic nieznaczące stwierdzenia, powtarzający z pełnym, fanatycznym wręcz przekonaniem gorliwego wyznawcy wymyślone już dawno i znane wszystkim komunały? Nie znajdziecie w jego słowach ani miligrama, ani mililitra buntu, gniewu, kpiny, szyderstwa z norm czy wartości, nie znajdziecie w nich sceptycyzmu człowieka, który nie wierzy w prawdę, nie znajdziecie tam ani garstki dystansu czy luzu. Zamiast tego wypływać z nich będzie strumieniami, niczym sok z rozciętego owocu, dziecięca wręcz naiwność, młodzieńcza wiara w człowieka, w zmianę, w lepszy świat, mienić się będą one niczym tęcza kolorami wszystkich wartości, które tylko zna świat: miłości, pokoju, tolerancji, nadziei, przyjaźni, akceptacji, uczynności i odwagi. Chwalić będą one bezinteresowną pomoc bliźniemu, ochronę środowiska, uprzejmość, wzywać do altruizmu, troski, uśmiechu, promować będą świat wolny od biedy, wojny, nienawiści, szyderstwa, kpiny i gniewu, roztaczać będą wizję przyszłego raju na ziemi i przestrzegać przed zagładą grożącą światu pogrążonemu w egoizmie, konsumpcjonizmie, biedzie, pędzie za pieniądzem i tym podobne. A do tego wszystkiego słowa te będą przekonywać tonem pozbawionym wszelkich wątpliwości o ich słuszności, czasem wręcz tonem fanatyka, któremu nie przeszkadza to, że nikt go nie słucha, który zdaje się nie zauważać porozumiewawczych spojrzeń, lekceważących uśmieszków, którego nie obchodzi, że nikt go nie słucha, który, wydaje się, nie umie rozmawiać już o czymkolwiek innym, jak tylko o swojej wizji lepszego świata, o swoich poglądach i o swoich wartościach. Oto kim okazali się być rzekomi buntownicy, wielcy rewolucjoniści i burzyciele porządku, kontestatorzy i krytycy Wielkich Narracji, pełni luzu wielbiciel życia, nieprzejmujący się normami społecznymi i niedbający o jutro.

Okazali się? Czy na pewno? Czyż nie należałoby raczej powiedzieć, że zawsze tacy byli? Kimże jest bowiem hipis, ów legendarny, oryginalny, pierwszy i wzorcowy, nieskażony jeszcze władzą, wpływem, majątkiem i pozycją społeczną przedstawiciel roku 1968? Pozornie to luzak, kontestator, buntownik, łamiący wszelkie normy obyczajowe, religijne, a nawet moralne, nieznający ograniczeń ani barier, nie troszczący się o dobra materialne, gardzący tradycjami i zwyczajami, naśmiewający się z ich napuszenia, któremu obca jest wszelka powaga. Gdy jednak przyjrzymy się bliżej, zobaczymy jego drugą twarz, twarz żalosego dzieciaka, naiwnego, pełnego wiary, nadziei i miłości, brzdąkającego na gitarze swoje smętne melodie i wyśpiewującego do nich kiczowate, sztamkowe teksty, w których aż roi się od wartości, od powagi, smutku i troski o pokój i miłość. Zobaczymy społecznego aktywistę, zaangażowanego w budowę nowego świata, w zmienianie społeczeństwa, w krzewienie postaw i wzorców obywatelskich, altruistycznych czy jakich tam jeszcze. Przede wszystkim zaś ujrzymy tam zupełny i absolutny brak dystansu, dystansu wobec samego siebie, wobec świata, wobec człowieka, wobec swoich postulatów, wobec swojej gitary i wygrywanej na niej smętów, wobec swojego pokoju i swojej miłości, wobec tolerancji, wobec swoich wizji lepszego świata, wobec swojej wiary i nadziei, wobec całej swojej formy, w którą odział się ów rzekomy buntownik i burzyciel. Nie ma on ani krzty owego zbawczego dystansu, nie potrafi, nie umie śmiać się z siebie, nie umie śmiać się ze swoich tez i wartości, nie umie spojrzeć z zewnątrz na wszystko co robi. Inaczej od razu zauważyłby jaki jest w tym wszystkim żalose, tak, przede wszystkim żalose, nie bowiem lepszego słowa na określenie jego postawy. W stosunku do niej nie wystarczą spojrzenia politowania czy kurtuazyjne uśmieszki. Tu potrzeba wielkiego, oczyszczającego wybuchu Niepowstrzymanego Śmiechu, który niczym wezbrana rzeka zmyje ze świata resztki tych żalosen i naiwnych dzieci i całej ich smętno-luzackiej otoczki. I zapewniam Was dzisiaj: Śmiech taki już wzbiera w tysiącach i milionach piersi i gardel na całym świecie.

Cóż bowiem mówią dzisiejsze czasy? Jaki manifest ogłasza dzisiaj niepostrzeżenie ich duch, szepcząc go cichym głosem do umysłów jego synów i córek, jaką woń rozpyła on pomiędzy ludźmi? Czyż nie mówi on: możesz wierzyć w co chcesz, wyznawać dowolne poglądy, bylebyś miał wobec nich dystans? Czyż nie mówią czasy: możesz być kim chcesz, bylebyś miał dystans wobec siebie? Tak. Albowiem największą wartością czasów współczesnych, największą wartością prawdziwego postmodernizmu, o ile można w ogóle pogląd ten tak nazwać, jest emocjonalny Dystans wobec wszystkiego, co istnieje i kiedykolwiek istniało, a nasamprzód wobec siebie samego, swoich poglądów, wartości, a nawet uczuć. Ten Dystans, którego tak brakowało legendarnemu Hipisowi i jego intelektualnym podporom i którego nadal brakuje jego i ich następcom.

Spójrzcie na nich raz jeszcze! Cóż za sprzeczność w nich tkwi, cóż za sprzeczność tkwi w tym, co nazywają postmodernizmem! Oto bowiem człowiek demaskujący mity, człowiek niewierzący w jedną narrację mającą tłumaczyć i wyjaśniać całą rzeczywistość, człowiek obalający uznane twierdzenia, wartości i normy, relatywista nieuznający jednej prawdy, człowiek napełniony wątpliwościami wobec wszystkiego, co słyszy i widzi, nieufający nawet swym zmysłom i swemu poznaniu, niemający żadnych autorytetów, widzący jasno, że wszystkie normy, wartości i teorie to tylko społeczne konstrukty, formy i konteksty, którymi można bawić się i grać niczym szklanymi paciorkami, z których można się śmiać i które jednocześnie można doceniać... Oto taki człowiek. Bardzo dobrze. Lecz nagle ten sam człowiek ma święcie i niewzruszenie wierzyć w kanon nowych wartości, które proponują mu rzekomo nie-oświecone rzekome nie-autorytety: w tolerancję, w równość, w pokój, w dialog, w prawa człowieka, w ludzką godność, w wolność, w miłość, w wolną miłość, w powszechne braterstwo, w solidarność, w altruizm, ale z poszanowaniem siebie, w nowy, lepszy świat. Ten sam człowiek, który jest sceptyczny nawet wobec tego, co widzi, który wszędzie dostrzega jedynie konteksty i konstrukty, który nie uznaje żadnej prawdy, który niczemu nie wierzy, a ze wszystkiego ma się śmiać i wszystkim bawić, który do wszystkiego ma nabrać dy-

stansu... ma nagle pozbyć się tego dystansu, gdy chodzi o pewne wartości, gdy chodzi o tolerancję, o mowę nienawiści, o demokrację, konstytucję, prawa człowieka, o „świętą i nienaruszalną” godność ludzką, o równość, o wolność, o wiarę w lepszy świat. Sceptyk i kontestator ma uwierzyć w nowe, nienamacalne i niejednoznaczne komunały i wartości, pozbawiony złudzeń ma oczekiwać lepszego świata, napelniony ironią i dystansem szyderca ma nie używać „mowy nienawiści”, być uprzejmy, pełen szacunku i tolerancji. Czyż nie widzicie, że jest to schizofrenia? Wewnętrzna sprzeczność? Czyż nie widzicie, że jest na dłuższą metę niemożliwe, aby w człowieku tkwiły jednocześnie te dwie siły: ironia i posunięta aż do absurdu uprzejmość; kontestacja wszystkiego i nadzieja na lepszy świat; sceptycyzm nawet wobec tego, co się widzi i wiara w wieloznaczne, niedotykalne wartości, godności i prawa; gniewny bunt i pełen miłości pokój. Te dwa klimaty, dwa charaktery nie mogą istnieć w jednym człowieku w równowadze przez dłuższy czas, w końcu musi on zacząć przechylać się na którąś ze stron, którejs przyznawać pierwszeństwo. Oni wybrali to drugie. Dzisiejszy świat wybiera pierwsze.

Kim bowiem są przedstawiciele nowego pokolenia, czający się w podziemiach Internetu i wykuwający tam, niczym Hefajstos zeusowe pioruny, cząstki owego Niepowstrzymanego Śmiechu, którego małe wybuchy, niczym trzęsienia ziemi, wstrząsają raz po raz światem? Kim są dzieci Naszych Czasów, wychylający się z owianych mgłą lasów i jaskiń całej Ziemi, dopiero kształtujący się, dopiero szukający nowej drogi, dopiero przygotowujący się do ostatecznego dobiecia owego złowrogiego i żalosego jednocześnie zombie, który zawisł nad światem niczym smog? Oto widzę ich, oto nadchodzą: Ludzie Dystansu, Ludzie Niewiary. Nie wierzą oni w demokrację, tolerancję, równość i uprzejmość. Nie wierzą w miłość, dobro ani godność. Nie wierzą w lepszy świat ani go nie oczekują. Poprzednie pokolenie było pokoleniem rozczarowanych, oni są pokoleniem pozbawionym złudzeń. Nie chcą budować rajów na ziemi. Nie interesuje ich dobro wspólne, interes narodu, nie obchodzi ich państwo ani społeczeństwo. We wnętrzu ich są dwa pragnienia, dwa tylko: konsumpcja i zabawa i więcej nic, na tronach zasiedli w nim, niczym król i królowa, Świnia i Błazen. Oto prawdziwi *homines ludentes*, ludzie Maski, ludzie wielu Masek, ludzie gry, żonglerki i karykatury. Oto prawdziwi postmoderniści, skupieni na sobie, zamknięci we własnych światach, świat zewnętrzny postrzegający jako narzędzie, zbiór automatów do realizacji zwyczajnych, zwierzęcych, ludzkich, arcyludzkich celów. Oto nadchodzi godzina, owszem, nawet już jest, kiedy się rozproszymy i zamkniemy w kapliczkach swoich własnych jaźni, a porozumiewać się będziemy ze sobą tylko nawiązaniem, cytatami, formami, mieszając je ze sobą w kotle niczym nowy napój magiczny, trunek ponowoczesnych czarodziejów, wino Nowego Dionizosa, mające moc wywołać nowy paniczny śmiech; kiedy przestaniemy wreszcie udawać, że rozmową tworzymy jakieś więzi, przyjaźń czy miłość. Oto ukryjemy się w głębiach jaskiń naszych wewnątrz, pieszcząc i gładząc czule perłę naszego ja, wszystkich masek i części, które nas tworzą, nasz jedyny skarb, tak lśniący, tak gładki, nasz urodzinowy prezent od zewnętrznego świata, który nas stworzył. Oto wespiemy się na góry wysokie na wyspach bezludnych, gdzie nastąpi największy cud w dziejach każdego z nas: każdy objawi się samemu sobie i uświęcona zostanie ziemia naszych jaźni. Oto Ziemia Święta, gdzie poszedłem w tan z samym sobą, gdzie z samym sobą weselne miałem gody. Oto nadchodzi do Was pokolenie wieczystej masturbacji, pokolenie nieznające wartości ani cnót, znające tylko siebie, swój własny skarb chroniące, drżące z lęku o niego, lękające się każdego, kto mógłby mu zagrozić, kto mógłby zakłócić panowanie Świni i Błazna. Oto pokolenie znające tylko Strach i Władzę, pokolenie odizolowanej samotnej konsumpcji, przerywanej nabożeństwami Tańca Lustra, karnawałowym korowodem masek własnego Ja. Oto jesteśmy tym, co Was przeraża, o czym nie chcecie nawet myśleć, sam nasz widok jest dla was przykry i dlatego mówicie: nie możecie być szczęśliwi. Na pewno nie jesteście szczęśliwi w Waszych najwyższych komnatach i najwyższych wieżach, nie, to niemożliwe, bo to tańca życia trzeba co najmniej dwojga, nie, to niemożliwe, aby człowiekowi do szczęścia wystarczał pełny żołądek! Nie chcecie, nie możecie tego przyznać, panicznie boicie się tego, że Wasze potomstwo uznaje wszystkie Wasze wartości za wymysły, że śmieje się z

Waszej napuszonej trawiastej mowy, że za nic ma fikcyjną etykę, że zna tylko Karę i Nagrodę, nie obchodzi go zaś żadne dobro ani żadne cnoty. Drżycie na myśl o potopie Niepowstrzymanego Śmiechu, oczyszczającym świat z resztek Waszych idei, Waszego altruizmu, Waszego społecznikostwa, Waszej solidarności i tolerancji. Przerażeniem napawa Was wizja nadchodzącego Pochodu nowego pokolenia, pokolenia tchórzliwych konsumpcjonistów, sceptyków, kpiarzy, wieprzy i błaznów, zamkniętych w sobie już nie egoistów, lecz egoteistów, stawiających swoje własne pomniki na placach i skwerach swoich wewnętrznych miast, zaludnionych kontekstami, maskami i formami. To wszystko napawa Was lękiem, mówicie więc: „Tak być nie może! Nie dopuścimy do tego!” i staracie się odwlec to, co nieuniknione. Próbujecie wpajać swoim dzieciom to, w co sami wierzyliście, na oleju dawnych wartości odgrzewacie gnijące już kotlety dawnych wzorców i ideałów: wspólnoty, narodu, społeczeństwa, ludzkości, harcerza, skauta, wolontariusza, aktywisty, działacza, popularyzatora, młodego demokraty. Udajecie, że nie widzicie ich spojrzeń politowania, śmiech na apelach zagłuszacie megafonem, nie dopuszczacie do siebie ich drwin, szyderstw, a nawet obojętności. Czekacie na ich bunt, myślicie, że uwierzą w Wasze ideały, jeżeli pokażecie im je jako wyraz niezgody, sprzeciwu, protestu przeciwko światu, przeciwko któremu i Wy protestowaliście. Nie widzicie, że ideały te zdążyły w tym czasie wpłynąć do głównego nurtu, rozlać się w nim szerokim strumieniem, rozgościć się w korycie tej rzeki niczym we własnym domu. Przede wszystkim zaś nie widzicie tego, że oni nie chcą buntu, są na to zbyt sceptyczni, zbyt tchórzliwi i obojętni. Ich buntem jest ucieczka i śmiech, lecz nie śmiech w imię ideałów, jak Wasze dawne parodie i karykatury, lecz śmiech w imię samego śmiechu, w imię Wielkiego Błazna, który króluje w ich wnętrzu.

Pogódźcie się z tym, że przegrywacie, że odchodzicie, że nikniecie w mrokach dziejów, a wraz w Wami Wasze wartości i ideały. Pogódźcie się z tym, że minęło Wasze pokolenie. Rok '68 jest martwy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

MP642, dodano 22.08.2019 10:14

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.